

Odradzający się duch kontrrewolucji zagraża kulturze demokratycznej

25 lutego 2008

W środowiskach medialno-intelektualnych rozwija się „rewolucja konserwatywna”. W oficjalnych komentarzach najczęściej stosowanym zabiegiem wydaje się oskarżanie zrewoltowanego ludu. W ten sposób apostołowie nowej frazeologii ponownie odkrywają niepokoje społeczne wieku rewolucji i odbudowują sojusz między „porządnym społeczeństwem” i fałszywymi mędrkami. Jednocześnie spektakl kontrrewolucji bez rewolucji przypomina powrót małych koblenckich paniczek, trwogę „uczciwych ludzi” oraz „wielki strach konformistów”.

Wyborcy nie mówią, oni krzyczą; nie wypowiadają się, oni wyrzucają z siebie. A także, rzecz jasna, nie potrafią myśleć. W wieczór po referendum z 29 maja 2005 r., autorów wstępniaków opanowało przygnębienie: „tsunami”, „katastrofa”, „impas”, „fiasko”, „poważny kryzys”. Zwycięstwo „nie” domagało się zdecydowanego wyjaśnienia: niekompetencja wyborców. A ich głosy? „To są okrzyki bólu, strachu, niepokoju i gniewu, które lewicowy elektorat wrzucił do urn” (Serge July, Libération, 30 maja 2005 r.), „to chorobliwy wentyl, poprzez który, obalając reguły referendalnej gry, wypływa się swoją żółć prosto w twarz władzy” (Claude Imbert, Le Point, 31 marca 2005 r.). W popłochu komentatorzy spontanicznie odkryli na nowo XIX-wieczną psychologię tłumu, stworzoną przez Gabriela Tarde’a, Scipiona Sighele i Gustawa Le Bona: lud charakteryzuje „impulsywność, drażliwość, niezdolność do rozumowania, brak zmysłu krytycznego”. [1] Nasi współcześni analitycy nie omieszkają powrócić do tego słownika patologii podkreślającego wściekłość protestantów (Claude Imbert), masochizm (Serge July), epidemię populizmu (Serge July), ostrą paranoję (Franz-Olivier Giesbert). Ten bardziej umiarkowany słownik zastępuje

dziś syfilis i alkoholizm, które były obsesją XIX wieku.

Kilka miesięcy po europejskim referendum, kryminalne tłumy z przedmieść zostały zastąpione przez wyborcze tłumy – według klasyfikacji Le Bona. W sytuacji wystawiającej na próbę możliwości eksplikacyjne teorii, domniemane roszczenie prawdziwościowe, często niesie ze sobą racjonalizację przesądów: „Po społecznym paraliżu, obywatelskim kryzysie roku 2002, wyborczej żakerii z minionego maja”, tłumaczył Nicolas Baverez w *Le Point*, z 10 listopada 2005 r., „miejskie zamieszki z jesieni 2005 r. stanowią nową ilustrację narodowego kryzysu we Francji oraz dekompozycji ciała społecznego.” I, co jest pewną nowością, zza tego obrazu chaosu wyłania się widmo psychicznej choroby buntowników, u których, jak precyzuje Claude Imbert, „szalona przemoc ujawnia bardziej z psychiki, niż z polityki.”

Przemoc i społeczne pochodzenie buntowników nieznacznie pogłębia ich upośledzenie. Trzeba było przywołać ducha generała de Gaulle’a, aby umożliwić autorowi wstępniaka przedstawienie takiego przedwyborczego ostrzeżenia: „Należy się strzec Francuzów, tych cieląt, które bez uprzedzenia zamieniają się w pewnym momencie w byki.” (Denis Jeambar, *L’Express*, 21 marca 2005 r.). Podobnie jak w czasach powstań z przeszłości, rewolta przedmieść wskrzesza barbarzyńców i dzikie zwierzęta. W czerwcu 1848 r., jak wskazuje nam pewien historyk, „każdy «uczciwy obywatel» miał na ustach bądź na końcu swojego pióra te zwierzęce porównania, niezależnie od tego jaki był poziom jego kultury: Mérimée, Musset czy Berlioz – jak pierwszy lepszy pismak – z podobną naturalnością mówili i pisali o buntownikach; że chodzi o dzikie zwierzęta, wściekłe psy, tygrysy, hieny, wilki, brudne robactwo, itp.” [2] Mimo wypowiedzi o łobuzach i motłochu, pozostało jeszcze pole do dalszej regresji.

Niebezpiecznie zbliżając się do inwektyw, komentatorzy przypominają tym samym, że kontrrewolucja niekoniecznie wyraża się w mniej lub bardziej skomplikowanych formach

racjonalizacji. Rozważania o Francji Josepha de Maistre'a czy Psychologia tłumu Gustawa Le Bona sprawiły, że zapomniano o wulgarnych ocenach, których było znacznie więcej i które miały poważniejsze konsekwencje. Trzeba na nowo ocenić „przejęzyczenia” kilku medialnych intelektualistów, którzy w mniejszym stopniu zostali napiętnowani za to, że byli w błędzie, niż za niezręczność. Niedorzeczności wypowiedziane na temat poligamii mieszkańców przedmieść nie wyrażają niczego innego, poza społeczną nienawiścią, która, w innych okolicznościach, nie opuszcza prywatnych przestrzeni.

O ile należy przyznać, że współczesna myśl kontrrewolucyjna unika, w sposób otwarty, stanowiącego w przeszłości jej jądro pojęcia rasy, o tyle ewokowanie ciemnego ludu pozostaje zasadą afirmacji społecznej przewagi. Ileż to razy gromy na polityczną ignorancję ludu, chłopów lub robotników rzucali w wieku XIX uznani postępowcy? „Tak, tłum jest nieinteligentny i ślepy”, deklarował Proudhon w 1863 r. „Ostatnią cechą tej wspaniałej rasy jest całkowita naiwność”, dorzucił w tym samym roku Jules Ferry. „Ciemny chłop jest mniej absurdalny, niż na poły wykształcony robotnik”, uzupełnił w roku 1884 Alfred Fouillée. „Gdybyście wiedzieli jakimi nieprawdopodobnymi bzdurami oni są ogłupieni”, szydził socjalista Joffrin w roku 1888. „Przyznaję, że nie spodziewałem się, że wśród robotników w Wogezach napotkam tak kompletną nieznaną najprostszych pojęć ekonomicznych”, wyjaśniał prefekt Wogezów w roku 1906, co przypomina trochę styl późniejszych o wiek wypowiedzi francuskiego ministra ekonomii. [3] Widać, że lista oskarżeń, lamentów i żalów jest bardzo długa. W charakteryzującym się głębią politycznej ignorancji roku 2005, lud ciągle potrzebował oświecenia. Tak więc, referendum rzeczywiście postawiło bardzo trudne pytanie przed wyborcami, którzy zostali niesłusznie wzięci za studentów prawa (Luc de Nanteuil, Le Figaro, 30 kwietnia 2005 r.). Można by się łatwiej uśmiechnąć nad takimi komentarzami, gdyby nie rościły one sobie pretensji do rangi politologii równie fałszywej jakości, jak w swoim czasie psychologia tłumu.

Sukces pseudoznawców tłumu był o tyle większy, o ile dostarczali oni naukowego przebrania dla politycznych fantazmatów uczciwych ludzi przerażonych socjalizmem. Poręka udzielona klasowym przesądom nie straciła ważności. W wieczór wyborczy 29 maja 2005 r., politolodzy przeciwstawili Francję górną – ludzi majątnych i wykształconych, zwolenników „tak”, Francji dołów – robotników i pracowników, biednych i źle poinformowanych zwolenników „nie”. Jednym słowem osoby inteligentne i poinformowane po jednej stronie, a głupie i ciemne indywidua po drugiej. Pascal Perrineau, publicysta pełnomocny wydziału nauk politycznych, wyjaśnił: „Pomyłono głosowania” [4], sposób na powiedzenie, że elektorat wybierający „nie” głosował pod wpływem motywacji narodowej, a nie nad traktatem europejskim, jakby obie te kwestie pozostawały bez związku... Prawdziwi eksperci cyzelują lub przepracowują swoje propozycje recept – należy bądź trzeba, a są to przecież słowa obce nauce. Jednak rozróżnienia i zasady zacierają się wskutek zamieniania kostiumu naukowego na uniform konsultantów i ekspertów partii politycznych i instytucji sondażowych. I propagandystów.

Politolodzy nie są osamotnieni w dziele trawestowania społecznych strachów. Niektórzy historycy ze zdumiewającą naiwnością zaprzęgają się do kampanii restauracji, w której zamiar ideologiczny podwaja przerażający regres intelektualny. Podobnie, jak w jednym z tych czasopism o historii wydarzeniowej, które zabawiały swoich czytelników opowieściami o bitwach i życiu wielkich ludzi. L’Histoire na swojej okładce z listopada 2005 r. stawia poważne pytanie: „Ludwik XVI: czy powinno się go rehabilitować?”. Pytanie dla historyka głupie, ale pytanie aktualne. Emerytowany profesor nauk politycznych, Michel Winock, odpowiada na nie z ambiwalencją: „Przestańmy powtarzać, że jesteśmy w roku 1788, lecz przyznajmy, że obciążenia i porażki naszej epoki skłaniają nas do większej wyrozumiałości, niż ta, jaką dotąd wykazaliśmy...”

Powrót do Ludwika XVI służy potępieniu „oporu wobec

najmniejszej reformy, odmowy zaadaptowania do kierunku rozwoju świata oraz odrzucenia jedynej namacalnej propozycji, jaka została nam przedstawiona – referendum nad europejskim traktatem konstytucyjnym.” Ludwik XVI w służbie „tak”? Nigdy nie jest za późno, żeby powiedzieć ludziom, że nie mają wyboru. Legitymizm dynastyczny łączy się więc z legitymizmem współczesnym, poprzez który konserwatyzm przyobleka się w zalety rozumu i usprawiedliwia się koniecznym porządkiem rzeczy.

Czy radiowa platforma w większym stopniu niż kolumny prasy drukowanej pozwala na powrót odrzuconych? Stacja France Culture w audycji Alaina Finkielraulta „Réplique” oddała 26 listopada ub.r. ostatnie słowo zdumiewającemu duetowi: z jednej strony historyk zaangażowany w namiętną obronę króla reformisty (czyżby Karola X?); z drugiej – historyczka zaangażowana w równie namiętną obronę królowej. Pierwszy, Jean-Christian Petitfils, ocenia jako totalitarne narodowe zgromadzenie konstytucyjne, podczas gdy druga, Mona Ozouf, przystraja Marię Antoninę w perukę Lady Di. „Ofiara demokratycznego resentymentu, gdyż ta kobieta miała wszystko – była najpiękniejsza, najbardziej uwodzicielska, najbardziej naznaczona wszelkimi przymiotami natury, co sprawiło, że ściągnęła na siebie to wyjątkowe zogniskowanie się nienawiści... Maria Antonina wynalazła coś zupełnie nowego w historii królowych, to znaczy smak natychmiastowej przyjemności, smak indywidualizmu, fakt stworzenia swojego osobistego życia...” Anachronizm zniknął, kiedy nasza historyczka przyznała w końcu z jasnością przenikającą obłąd: „Pan i ja jesteśmy w trakcie rehabilitowania króla.”

Zbieżności i sojusze między najbardziej oportunistycznymi „uczonymi” i najbardziej wpływowymi dziennikarzami nie są nowością. Tak, jakby zadowalała ich inwokacja do pseudonaukowych produkcji z dziedziny psychologii tłumu (Gustaw Le Bon był wówczas bardziej znany niż Emile Durkheim); komentatorzy ci żywią się najbardziej przestarzałymi

produktami nauk takich, jak behawioryzm (badania nad zachowaniem) stosowany w badaniach sondażowych. Ta zbieżność jest przypieczętowana powinowactwem ze zdrowym rozsądkiem, który udziela politycznych (a nie naukowych) odpowiedzi na polityczne pytania. Pojęcia są tu bezużyteczne, ponieważ wyborcy mówią wprost, co myślą i co robią. Gdy poprzedzimy te wypowiedzi jakimiś procentami, mamy opinię publiczną. Kilka reminiscencji o „zablokowanym społeczeństwie” wystarczy również, by postawić na porządku dnia „ociężałość” i „inercję” ludu przywiązanego do swoich „nabytych przywilejów”. Nie dotyczy to nigdy dziennikarzy, którzy nie czytają, lub akademików, którzy całkowicie zarzucili naukę.

W ramach wymiany usług, jedni cenią sobie intelektualne wsparcie akademików, których cytują bardziej z uwagi na ich tytuł, niż myśl, drudzy otrzymują reklamę swoich (kiepskich) tekstów i syca swój medialny narcyzm. Pośród tych, którzy powielają się na wszystkich frontach, jednym z najbardziej hojnych jest politolog Dominique Reynié. Jej myśli o wyborach, kryzysie przedmieść czy przyszłych wyborach prezydenckich zdobią bez różnicy Le Figaro, Libération, Le Monde, Le Revue politique et parlementaire, nie mówiąc o rozlicznych czasopismach zagranicznych, których redaktorzy wykuwają swoje idee poprzez lekturę francuskiej prasy. Światowa śmietanka towarzyska politologów posiada przywilej uniemożliwiający wywieranie wpływu przez treści inne, niż zwyczajny amalgamat zawierający się między lewicą lewicy a skrajną prawicą. Dominique Reynié – jako pierwsza – nazwała to subtelnie „socjal-nacjonalizmem”, a odkrycie to zaskarbiło jej pochwały prasy.

W Stanach Zjednoczonych, komentatorów mówiących o wszystkim i o niczym definiuje się jako klasę paplającą (chattering class). Nie ma tu francuskiego wyjątku. Stereotypowe wypowiedzi powtarzają się tym częściej, im bardziej ich autorzy tracą wpływ na coraz bardziej krytyczną publiczność. Mając to na uwadze, referendum z maja 2005 r. powinno było

zrodzić raczej refleksję, niż ich złość. W historii prasy nie jest czymś zwyczajnym, gdy zajęcie jednomyślnego stanowiska, a następnie jego podsycane bezsilnością potępienie oddalają partię czytelników i słuchaczy. Kto stwierdził, że tekstem dziennikarskim rządzi wyłącznie oglądalność lub interes ekonomiczny? Oto piękna ilustracja przetrwania „ideologii” dokonująca się poprzez tych, którzy twierdzą, że ona zanikła.

Usunięcie krytycznych intelektualistów z francuskiego życia intelektualnego nie następuje ani w wyniku fenomenu genetycznego, ani na skutek konkurencji utalentowanych konserwatystów. Przeciwnie, kryzys uniwersytetu częściowo tłumaczy załamanie polityczne zdwojone regresem jakości intelektualnej. Stając wobec postępu konserwatyzmu we własnych szeregach, akademicy stwierdzają, że ich koledzy mają prawo wyrażać swoje przekonania i jednocześnie ubiegać się gdzie indziej i w inny sposób o społeczny sukces. Dyskretnie lekceważą oni ich medialne wystąpienia oraz kiepskie teksty, ale sami chronią się w ezoteryczną koncepcję nauki.

Idąc w kierunku ortodoksji, wzajemna kontrola miała pewne niedogodności; nie ma już z niej żadnych korzyści, gdy rezygnuje ona z pobudzania do respektowania podstawowych zasad pracy intelektualnej. Wykluczenie z mediów zarówno krytycznych myślicieli, jak i ludzi utalentowanych, również prowadzi do wyczerpania źródła odnawiania idei i pokoleń. Również konserwatywna inteligencja straciła tę możliwość.

Autor: Alain Garrigou

Źródło: [„La Monde diplomatique” \(edycja polska\) nr 3/2006](#)

PRZYPISY

1. Gustaw Le Bon – Psychologia tłumu, PWN, Warszawa 1986, s. 58
2. Dolf Oelher – Le spleen contre l’oubli, Juin 1848, Payot, Paris 1992, s. 30.

3. Cytaty pochodzą z książki Alaina Garrigou Histoire sociale du suffrage universel en France (1848-2000), Seuil, Paris 2002.

4. France Info, 29 maja 2005 r.